

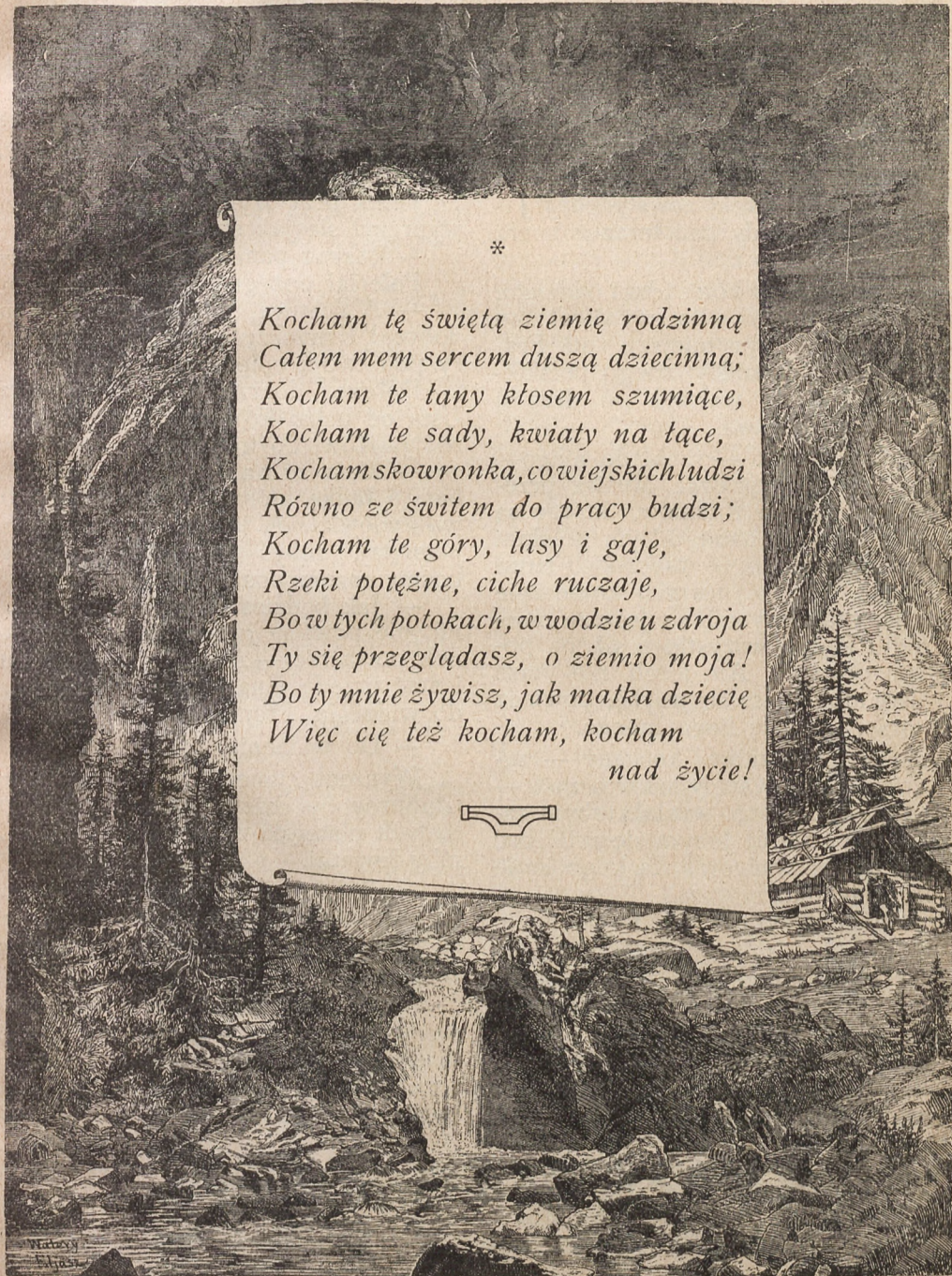
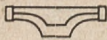
ORŁATKA

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

NUMER 6. KATOWICE, DN. 1-GO CZERWCA 1927 R. ROK I.

✱

*Kocham tę świętą ziemię rodzinną
Całym mem sercem duszą dziecinną;
Kocham te łany kłosem szumiące,
Kocham te sady, kwiaty na łące,
Kocham skowronka, cowiejskich ludzi
Również ze świtem do pracy budzi;
Kocham te góry, lasy i gaje,
Rzeki potężne, ciche ruczaje,
Bo w tych potokach, w wodzie u zdroja
Ty się przeglądasz, o ziemio moja!
Bo ty mnie żywisz, jak matka dziecko
Więc cię też kocham, kocham
nad życie!*



JULJUSZ GERMAN

O JANKU CO WALCZYŁ WE LWOWIE.

Ciąg dalszy (4).

oczy grubego pana ten promień uderzył i duszę mu rozświetlił.

Rzekł położywszy rękę na głowie Janka:

— Ano, trudno. Gdy trzeba, to trzeba. Od was należy miłości Ojczyzny uczyć się, lwowskie dzieci. Pójdę z wami. Ale ty, chłopcze, nie będziesz się już z mego brzucha wysmiewał?

— Nie będę — rzekł zawstydzony Janek. Nie będę, kiedy pan teraz żołnierz i kolega.

Wysłał raz znowu komendant oddziału, ale już Janka samego, bo wydawał mu się poważniejszy i sprytniejszy, niż Franek, z listem do dowódcy innego polskiego oddziału, który walczył po drugiej stronie miasta, daleko.

— Słuchaj, Janku — rzekł do niego — niebezpieczna to wyprawa. Musisz przekraść się przez linje Rusinów, którzy są w środku, między nami a tym polskim oddziałem, otoczonym ze wszystkich stron przez wroga. Trzeba naszych koniecznie uwiadomić, żeby trzymali się jeszcze mocno i bronili się ze wszystkich sił, bo pomoc już nadchodzi. Ale jeżeli nie masz ochoty iść, albo boisz się trochę, powiedz mi otwarcie, a wysłę kogo innego.

— Panie poruczniku kochany — zawołał Janek, a lzy błysnęły mu w oczach, — gdyby pan kogo innego wysłał, tobym zamartwił się na śmierć! Jabym się miał bać tych ruskich oberwańców! Za kogo mnie pan porucznik ma?

Porucznik położył mu rękę na ramieniu.

— Więc idź, mój chłopcze. Musisz pójść bez broni i orzelka odpiąć z czapki, żeby nikt nie poznał, że należysz do polskiego wojska. List ukryj dobrze a jak porządnie się sprawisz i szczęśliwie powrócisz, zostaniesz kapralem, choć taki mały jesteś.

Janek aż poczerwieniał z dumy i radości. Ścisnęło go coś za gardło, że ani słowa jednego nie mógł powiedzieć. Patrzył tylko na porucznika oczami roziskrzonymi jak słońce.

A porucznik spojrzał na niego wzrokiem sokoła i do piersi go przytulił jakby młodszego brata.

— Idź, polski żołnierzu — rzekł jasnym głosem. — Idź młode orle i powracaj z chwałą.

Janek przyłożył dwa palce do czapki, wyprężył się jak struna.

— Rozkaz panie poruczniku! — zawołał. Poleciał pożegnać się z Frankiem.

— A schowaj mi orzelka i pilnuj go dobrze! I przeczyć tam mój karabin, który pod twoją opieką zostawiam.

Dobrze, dobrze — mruknął Franek. Usta od ucha do ucha otworzył i wsunął coś Jankowi do kieszeni.

— Masz tu na drogę duży kawał kiełbasy i bułkę którą mi dała jedna pocziwa żydówka. A jak zostaniesz kapralem, pamiętaj, żebyś na mnie nie krzyczał, bośmy razem poszli się bić!

— Jak będziesz służbę porządnie pełnił, nie powiem ci ani słowa — rzekł Janek poważnie. — Ale musisz mnie słuchać i stać przede mną prosto jak świeca. No, do widzenia, Franku!

— Do widzenia, Janku!

Wyszedł Janek w samo południe. Chmurny był dzień, śnieg pruszył, tysiące białych płateczków rozrzucało po ulicach niby kwiatki.

Janek okręcił mocniej szyję swoim podartym włóczkowym szalikiem, włożył ręce do kieszeni i szedł sobie, pogwizdując zeicha.

Na ulicy miasta było prawie pusto. Od czasu do czasu snuł się jakiś przechodzień, pod murami kamienic śpiesznie się przemyskał. Po chleb, po żywność zdążał, by zanieść co do domu, w którym nie było co jeść.

Już daleko za Jankiem zostały polskie placówki. Na rogu ulicy po-



kazał się ukraiński żołdak, zbrojny a brudny. Za nim drugi, trzeci. Obstawili Janka, chwycili go za kołnierzy ciężkimi łapami.

— Gdzie ty idziesz, urwisie? Skąd ty, gdzie mieszkasz?

— Puście mnie panowie żołnierze — rzekł Janek pokornie — matka mnie posłała, żebym do jedzenia co kupił. Mieszkam pod Wysokim Zamkiem, mam jeszcze spory kawał do domu.

— A co w kieszeni nosisz?

Obszukali go dokładnie. Listu nie znaleźli, bo Janek schował go w bucie. Ale zabrali mu kielbasę i bułkę, śmiejąc się szydlerczo. Kolbą go jeden na pożegnanie uderzył, aż z bólu świeczki w oczach Janekowi stanęły.

Lecz zęby tylko zacisnął i nie jęknął nawet.

Doszedł do Rynku. I serce boleśnie mu zabiło, gdy ujrzał na wieży ratuszowej żółtoniebieską ukraińską chorągiew.

— O mój Boże, — pomyślał sobie — jakie to smutne, że nad polskim miastem którego tak ciężko bronimy, powiewa jeszcze chorągiew wroga, panoszy się bezprawnie nad murami polskiego Lwowa.

I podniósł głowę do góry w cichej modlitwie.

I nagle zdumiał się a oczy rozbłysły mu niespodziewaną radością.

Wśród białych płatków śniegu zajaśniał niby duży ptak, a w powietrzu rozległo się groźne warczenie.

Nad ratuszem leciał polski samolot. Wymalowane na nim były białe i czerwone kółka. Leciał tak nisko, że widać było lotnika w ceratowym hełmie na głowie.

Zbiegł się w tej chwili z wszystkich stron tłum ukraińskich żołnierzy. Podnieśli do góry karabiny, zaczęli wszyscy zajadle strzelać, chcąc zabić śmiałka, samolot na strzepy potrzaskać.

Ale lotnik nieustraszony sterował zrzęcznie swym powietrznym ptakiem z płótna, drzewa i stali, sterował wśród gradu kul z jasną odwagą, coraz niżej nad ratuszem się opuszczając.

Niech Bóg da ci zdrowie, polski lotniku! — pomodlił się w duszy Janek

gorąco. — Żeby nic ci się nie stało, ty śmiały!

I aż krzyknął cicho z uciechy.

Bo lotnik jedną rękę na sterze samolotu trzymając, drugą wyciągnął w dół i szybkim a mocnym ruchem zdarł z ratuszowej wieży żółtoniebieską chorągiew.

Wrzasnęli z wściekłością i gniewem Rusini, nowy grad pocisków posypał się na lotnika.

Trafił go w wyciągniętą rękę dobrze wymierzony strzał, lecz on chorągwi zdobytej nie upuścił z dłoni zakrwawionej, choć twarz zbłądła mu z bólu. Zakręcił sterem i wzniosł się wgórę, wysoko, gdzie go kule już osiągnąć nie mogły.

Tylko z białymi płatkami śniegu spadły na bruk Lwowa krople krwi czerwonej z rany, która na ręce bohatera kwiatem poświęcenia zakwitła.

A Janek pogonił dalej ucieszony, pełen radości, lekki jak ptak.

Zatrzymało go znów kilku Ukraińców. Obszukali go znowu dokładnie, pięściami po głowie nabili. Zdarli mu szalik włóczkowy z szyi, ściągnęli kurtkę z pleców, że został w samej koszulinie, trzęsąc się z zimna. Ale cieszył się i śmiał w duchu, że mu do butów nie zaglądnęli, gdzie list był ukryty.

d. n.



N A P A D.



iędzy staremi lipami, wokół których rosły miodne kwiaty, stała pasieka.

Miejsce było wygodne: od mroźnych, północnych wiatrów, chroniły pasiekę góry wyniosłe, a od burz i zawiej, stare, rozrosłe ko-

nary lip, w których dzwoniły pszczoły swoje pieśni pracowite i mądre.

Razu jednego, gdy zmrok zapadł i ściemniło się zupełnie, wtedy niezgrabnie, ale ostrożnie zaczął się zbliżać Miś do pasieki, której woń miodu, zwabiła go z głębokiej puszczy, rozciągającej się na zboczach gór.

Cicho było zupełnie, najmniejszy szelst nie zakłócał spokoju nocy. Miś stanął na przeciw ula i długo mu się przypatrywał... Narazie cicho, powoli podsunął się pod sam pień ula. Stanął na tylnych łapach i cichutko obmacywał pień i badał, którądy można wydobyć plastry miodu.

We wnętrzu pnia spały mocno zmęczone całodzienną pracą pszczoły. Ale jedno i drugie silniejsze dotknięcie niedźwiedziej łapy zbudziło drzemiącą u otworu straż.

— Coś się dzieje dziwnego — szepnęła jedna strażniczka do drugiej.

— Pasiece grozi niebezpieczeństwo.

— Zagładnę.

I wyjrzała. Ale zanim zdolała wychylić się na zewnątrz, już ją zmiażdżyła silna łapa niedźwiedzia, która właśnie w tej chwili uderzała w pień.

Druga strażniczka, stojąc tuż za pierwszą zobaczyła ogromną łapę i pot-

worną paszczę napastnika. Więc przerażona cofnęła się wstecz i ze strasznym krzykiem „niedźwiedź“ przeleciała całe wnętrze ula, budząc do obrony śpiące towarzyszki.

Szum, ruch, zamęt nie do opisania, zawrzał w ulu.

Dźwięk: „niedźwiedź“ leciał w najodleglejsze kąty.

— Co robić? — wołały przerażone pszczoły. Naraz jakiś głos stanowczy zawołał rozkazująco:

— Stanać na straży królowej i bronić jej, zasłaniać ją własnym ciałem.

Część pszczół poleciała w odległy kąt gdzie spała królowa.

— A reszta — brzmiał rozkaz — cofnąć się, nie zbliżać się do otworu, bo

każda z was zginie w potężnej łapie niedźwiedziej. A gdy napastnik wybijie ścianę, wszystkie naraz obsiać gęsto jego pysk i głowę — i chociaż to wam śmiercią grozi, kłuć go. W ten sposób przynajmniej królowa i część naszych towarzyszek zostanie przy życiu.

Większa część pszczół cofnęła się w głąb, a część młodszych latała w zamieszaniu.

— Skąd ta stara wie co robić? szepnęła jedna.

— Ona już przeżyła taki napad na pasiekę — odszepnął ktoś z boku.

Tymczasem łapy Misia waliły, drapały, grzebały, aż wkońcu rozbiły zamurowanie, odpadła murarska zaprawa i szeroki otwór odsłonił wnętrze ula.

Oczom Misia przedstawił się czarowny widok: ujrzał plastry w znacznej części wypełnione miodem. Siegnął po nie łapą, ale w tejże chwili rój pszczół wypadł z ula i obsiadł całego Misia.



Niewiele sobie robił z tych, co obsiadły mu grzbiet, szyję, pierś, bo grube kudły chroniły jego skórę od ukłucia, więc wyrwał jeden plaster, podniósł go do pyska i zaczął chciwie wysysać słodki miód — ale już cała gromada pszczoł, obsiadła mu głowę, i kłuła pysk, powieki, uszy.

Ból był okropny, ale łakomstwo jeszcze większe, więc chwycił drugi plaster i znowu podniósł go do pyska. Ale teraz już i te pszczoły, które obsiadły grzbiet, zdołały się wcisnąć między kudły i cięły

napastnika ze wszystkich stron.

Ból dokuczał Misiowi coraz bardziej. Strzelił mu do głowy dowcipny koncept, więc trzymając plaster miodu w przednich łapach, zaczął się tarzać po ziemi i gniótł ciężarem swego ciała całe dziesiątki i setki pszczoł.

Niedługo trwała ta walka. Zginęły w niej setki pszczoł, ale skąsany niedźwiedź zaczął uciekać, nie mogąc wytrzymać tych ukąszeń bez końca.

Pasieka została uratowana.



KAZIUKOWE ŚWIĘTO.

Obrazek sceniczny ze śpiewami w dwóch odsłonach.

Napisała MARJA REUTTÓWNA.



Stefek.

Trzeba ich ratować, posłuchajcie, jak nam pan dziś mówił o tych czajkach, co wołały, że dobroć jest najpotrzebniejsza ludziom, pomyślałem sobie, że w dzień Ś-go Kazimierza, trzeba zrobić coś dobrego, by naszego królewicza uradować.

Ale co?

Józio.

Stefek.

Zróbmy Kaziukowi święto, złożmy się i kupmy mu na imieniny balję.

Antek.

Ale za co?

Stefek.

Jakto za co? Za pieniądze. Przecie każdy, z nas dostał od ojca lub matki parę groszy na jutrzejszy jarmark. Zamiast obwarzanków, piernikowego serca albo kogutka, co to mu się w ogonek dmucha by gwizdał, złożmy się na balję.

Janek.

Nie starczy nam pieniędzy...

Stefek.

Kto wie? Liczmy ile każdy z nas da.

Józio.

A ile Stefek da?

Stefek.

Tyle co mam—dwa złote. Chciałem sobie kupić piłkę do wycinania. Obejdę się.

Janek.

Ciąg dalszy (5).

Ja mam tylko jeden złoty.

Bolek.

I ja tyle dam.

Wojtek.

Ty najbogatszy i tylko złoty dajesz?

Bolek.

Muszę sobie coś kupić.

Antek.

Ja dam złoty i pięćdziesiąt groszy, chciałem sobie kupić nowy pasek, obejdę się starym.

Stefek.

To już całe pięć złotych i groszy pięćdziesiąt. A młodzi żacy nie nie dadzą?

Józio.

(namyśla się chwilę)

Chciałem sobie wędkę kupić, ale co tam. Biesz, Stefku i moje dwa złote. Niechcę i serca i kogutka (podaje dwa złote).

Wojtek.

A ja sobie torebkę skleję z papieru sam, a złoty oddam na balję.

Stefek.

A ty, Tadzio, ile dasz?

Tadzio.

(zakłopotany)

Mam tylko pięćdziesiąt groszy, wstyd mi, że tak mało... Jutro przyniosę...

Stefek.

Niema żadnego wstydu, każdy z nas daje ile ma. Teraz liczymy. Antek zapisuj.

Antek.

(pisze, potem czyta).

Stefek dał 2 złote, Janek złoty, to trzy, Bolek złoty, to cztery, Antek złoty pięćdziesiąt, to pięć złotych i pięćdziesiąt groszy, Józio dwa złote, to siedem i 50 gr. Wojtek i Tadzio złoty 50 gr. to całe dziewięć złotych.

Stefek.

Mało, żeby chociaż dziesięć było. Skąd wziąć! Nie mam już grosza.

Antek.

I ja również.

Janek, Tadzio, Józio i Wojtek.

I my również nic już nie mamy.

Bolek.

Jak wy tak wszystko oddaliście, to i ja to powinien zrobić. Dam jutro dwa złote.

Stefek.

Dziękuję ci kolego. To już jedenastcie. Chyba starczy na balję.

Janek.

Za mało. Moja matka ma również kupić sobie balję. Słyszałem jak mówiła dziś, że dobrej nie można dostać bez 15 złotych.

Stefek.

To jeszcze brak czterech, i skąd wziąć?

Tadzio.

Może nam dadzą na kredyt?

Janek.

Aha, zaraz, ktoby tam chciał sprzedać balję na kredyt.

Wojtek.

Już wiem, latem nazbieramy poziomek, sprzedamy je w Wilnie i będzie.

Bolek.

To będziesz miał w lecie, a balję trzeba jutro kupić.

Józio.

Ja wam coś powiem. Poprośmy naszego pana nauczyciela, żeby nam do lata pożyczył. A jak będą poziomki, — to spłacimy swój dług.

Wszyscy.

(Z radością)

Doskonale, doskonale (skacząc, klaszcząc w dłonie).

SCENA V.

Ciż i nauczyciel

(wchodzi niosąc młotek i gwoździe).

Nauczyciel.

Cóż tak was cieszy? Skąd ta radość?

Józio.

Kupujemy balję!

Wojtek.

I prosimy, żeby pan nauczyciel nam pożyczył.

Tadzio.

Bo to jutro Koziukowe święto!

Janek.

A oni są bardzo biedni! (Chłopcy mówią szybko, wszyscy jednocześnie i bardzo głośno).

Nauczyciel.

(łapiąc się za uszy).

Aj, aj, co za gwar nie nie rozumiem. Jaka balja poco i dla kogo? Kto jest biedny? Niechże jeden z was mi powie, ale spokojnie, bez hałasu. Ty Antku, mów.

Antek.

To już niech lepiej mówi Stefek, on to wszystko wymyślił!

Nauczyciel.

Mówże, Stefku!

Stefek.

Proszę pana nauczyciela, jutro Kaziukowe imieniny, a że on i jego matka są bardzo biedni, więc chcemy mu kupić balję.

Nauczyciel.

Balję Kaziowi? a to po co? przecie nie będzie prał?

Stefek.

Matka jego jest praczką, i jak będzie miała własną balję, to będzie mogła zarabiać i nie będzie u nich takiej biedy.

Nauczyciel.

(wzruszony).

O, moi kochani chłopcy, to wy chcecie zrobić taki śliczny czyn? I któż was do tego zachęcił!

Stefek.

Ś-ty nasz Królewicz Kazimierz. Słucha-

jąc opowiadania o jego dobroci, postanowiliśmy to uczynić...

Józio.

I prosimy pana o pomoc, brak nam jeszcze czterech złotych; możeby pan nam pożyczył, a my, jak sprzedamy latem poziomki, to wszystko panu oddamy, co do grosza.

Nauczyciel.

Nie kochani, nie pożyczę wam, ale z chęcią dołożę; pozwólcie i mnie zrobić dobry uczynek w dzień Patrona i Opiekuna naszej ziemi. A teraz co tchu do roboty.

Bolek.

O jakże miły będzie jutrzejszy dzień.
Zasłona spada.

ODSŁONA II.

SCENA I.

Ta sama izba szkolna przybrana zielenią i chorągiewkami o barwach narodowych. Na głównej ścianie obraz Ś-go Kazimierza.

Nauczyciel, Tadzio, Józio, Wojtek i Bolek.
(wszyscy odświętnie ubrani).

Tadzio.

(wyglądając przez okno).

I jeszcze tamci z balją nie przychodzą.

Józio.

Żeby się przynajmniej nie spóźnili.

Wojtek.

Toby było straszne, żeby tak Kazio pierwszy nadszedł...

Bolek.

A mówiłem, a upominałem Stefka, żeby wcześniej przyszedł. Ale to tak zawsze.

Nauczyciel.

(który przez cały ten czas pisał w zeszytach przy stole, podnosi głowę, uśmiecha się i mówi).

Cierpliwości, moi drodzy, jeszcze czas żeby się jednak wam tak nie dłużyło to czekanie, przemaszerujcie raz i drugi i zaśpiewajcie sobie.

Wojtek.

A dobrze, ale co zaśpiewamy?

Bolek.

Juści nie co innego, tylko o ptaszkach co dziś do nas wtacają.

(Ustawiają się w dwójki i maszerują śpiewając).

*) „Przez góry, przez lasy lecimy tu,
Już skrzydła pomdlały, już brak nam tchu,
Choć droga daleka,
Lecz gniazdko nas czeka,
Rodzinne gniazdeczko najmiłsze nam.

(słychać śpiew za drzwiami).

Serdeczne ptaszyny, witamy was!
Wraz z wami nastąpi wiosenny czas.
Witajcie, witajcie,
Do gniazdek wracajcie
Po trudach podróży spoczniecie tam!..

d. n.

*) Szkolny śpiewnik Chrzęszczewskiej.

EDWARD KLONIECKI

PRZYŚNIŁO SIĘ RAZ MRUCZKOWI...

Przyśniło się raz Mruczkowi,	Lecz gdy się podstępnie skrada,	Tak to nieraz zbyt boleśnie
gdy w najlepsze spał na ławie,	aby schwytać myszkę młodą,	ukarany bywa zapłat, —
że nie we śnie a na jawie	robi skok i z... stołka spada	bo ktoś słyszał, żeby we śnie
w starym śpichrzu myszy łowi.	do ceberka z zimną wodą!..	kiedy kotek myszkę złapał?!?

O ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU NA WIERSZYK DO OBRAZKA Z № 3 „ORLĄTEK“.

Z pomiędzy kilkudziesięciu dobrych wierszyków, wybraliśmy trzy, abyście Wy ocenili, któremu z nich i dlaczego, należy przyznać pierwszą nagrodę. Ilość głosów zdecyduje o przyznaniu „albumu“.

Za najlepszą ocenę tych wierszyków, prze-

znaczamy ciekawą książkę o dalekich podróżach. Ocenę należy nadesłać najdalej do 15 czerwca.

W następnym numerze podamy nazwiska tych, którzy nadesłali wierszyki do obrazka z № 3 „Orlątek“.

„WIERSZYK DO OBRAZKA“.

*Niewiadomo, czy to z głodu,
A może nawet i z chłodu,
Umarła ptaszyna mała,
Co nam piosnki świergotała.*

*Stary grabarz, czarny kret,
Dowiedział się o tem wnet,
Zabrał rydel, poszedł zaraz,
I ptaszynę martwą znalazł.*

*Tam zapłakał nad niebogą,
Otarł łezkę przednią nogą,
Do pracy się zaraz wziął
I wykopał piękny dół.*

Marja Szafrąncówna
Uczennica Szkoły powszechnej
w Welnoscu.

O KRECIE i PTASZKU.

*Wylazł z ziemi kret poczciwy,
A ujrzawszy, że przy norze
Leży jakiś ptak nieżywy,
Zląkł się, że go kot zjeść może!*

*Więc się żwawo jął łopaty:
Szachu-machu! I czy wiecie?
Pogrzebał go bez zapłaty!...*

— — — — —
Bóg ci zapłać, dobry krecie!...

Jadwiga Kuśmierkiewiczówna.
Zakopane.

„NIECH KAŻDY O TEM PAMIĘTA“

napisał KAROL KORZENIOWSKI, uczeń II kl. Szkoły Wydziałowej w Ligocie obok Działoszyc.

*Razu jednego, ze swych korytarzy,
Kret wyszedł na świat Boży,
I o przechadzce milej sobie marzy,
W świetle porannej zorzy.*

*Jak miło, pięknie, słoneczko tak grzeje,
Żyć w ziemi to nie fraszka;
Gdy tak rozmyśla, do słońca się śmieje,
Spotyka na drodze ptaszka.*

*Ale o dziwo, ptaszek się nie rusza,
Nie wzlata w błękit przestworzy:
Bo leży martwy, już go nic nie wzrusza,
Swych skrzydeł nie rozłoży.*

*Stanął w zadumie nad biedną ptaszyną,
— Pogrzebie ją w tej oto trawie —
Idąc po rydel myśli nad przyczyną
Śmierci, na leśnej murawie.*

*Może zły chłopiec zabił go kamieniem,
A może przyczyna w głodzie,*

*Albo też spotkał się z jastrzębia cieniem,
Lub zmarł w porannym chłodzie.*

*Wrócił i kopie. Mogiła gotowa.
Stanął podparty, łzy roni,
Ta matka ziemia, biedaku cię schowa,
Przed wszystkim już cię uchroni.*

*Dzwonki konwalji dzwonić ci będą,
Kadzideł słać swych wonie,
Pajęczki pałac misterny uprządą,
Zdobiać to piękne ustronie.*

*Żegnaj mi! Odszedł. Myśl mu się ciśnie:
— Jakże to smuci i boli,
Że często krzywdę robią nam rozmyślnie,
Tylko ze zwykłej swawoli.*

*Zdarza się bowiem, że jest złe dziecię,
Co męczy biedne zwierzęta,
A takim dzieckiem brzydzą się w świecie,
Niech każdy o tem pamięta.*

Pismem kieruje Komitet redakcyjny: **Marja Reutt, T. Zubrzycka.**
Adres Redakcji i Administracji: Katowice, Wandy 41 Konto czekowe P. K. O. № 303-600.
Warunki prenumeraty „Orlątek“ z przesyłką pocztową: — półrocznie 1 zł. — rocznie 2 zł.
Numer pojedynczy 10 gr.